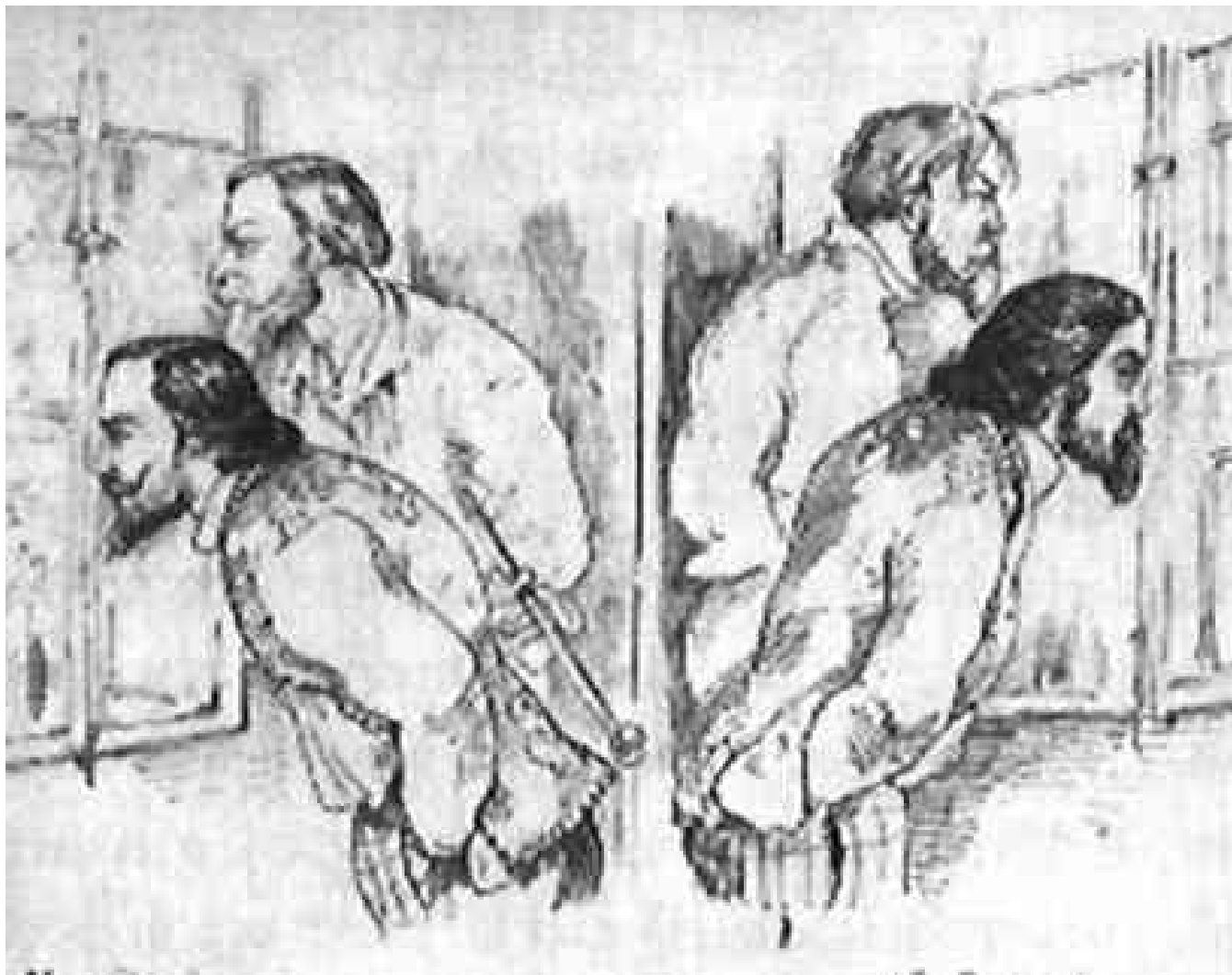


# Wielki koniuszy Juliusz\*

Aleksander Piskor

\*źródło: A. Piskor, Siedem eksceleńcji i jedna dama, LTW Łomianki



Rys. Juliusza Kossaka, Juliusz Dzieduszycki i Juliusz Kossak, A. Piskor, Siedem eksceleńcji i jedna dama, LTW Łomianki

## BAGDAD

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,

Wnosi do izby dwa pieniądze wory,

Czteryście złotych ułożył na ławie

I tak powiedział: „Zgarnij to, Wiesławie,

Idź do Krakowa, a za te talary

Kupisz dwa konie, a doberz mi pary!”.

Wprawdzie akcja tego fragmentu Wiesława Brodzińskiego rozgrywa się w chacie wiejskiej, lecz coś podobnego działo się także 7 czerwca 1840 roku w dworze jarczowieckim. W roli Stanisława wystąpił

tym razem sam dziedzic, hrabia Kajetan Dzieduszycki, starszy pan pamiętający ostatniego króla polskiego, wiecznie zagniewany na współczesnych mu ludzi i austriackie rządy. Oczywiście nie miał w sobie żadnej cechy chłopskiej – obca mu była jakakolwiek pokora, natomiast bliska ogromna duma i pycha. Zajęty ciągłą pracą w swoich majątkach ciułał pieniądze, które pożyczał na duży procent lub wydawał na kupno nowych wsi i folwarków. Miał sporo ziemi, a chciał mieć jeszcze więcej.

Uczył sobie z tego główny cel życia – wiedział przeto, czego chce, i wytrwale realizował swoje zamiary.

Możliwe, że samotność jest bardzo przyjemna, ale Kajetan po przekroczeniu czterdziestki zatęsknił za domem, w którym płonęłoby „domowe ognisko”. Długo się nie namyślał – ożenił się z posażną szesnastolatką, Florentyną Dunin-Borkowską, a dziewięć miesięcy po ślubie, 24 grudnia 1817 roku, został szczęśliwym ojcem syna Juliusza. Przy jednym z następnych połogów żona niestety umarła – strata bezsprzecznie była bolesna; może dlatego nie odczuł jej zbyt dotkliwie, bo czas wypełniały mu codzienne gospodarskie obowiązki. Zestarzał się wśród ustawicznej pracy minęły lata i nagle, gdy zdawało się, że już nie nastąpią żadne zmiany w jego życiu, w 1836 roku ogarnęła go przemożna, ogromna i ostatnia namiętność do młodziutkiej, ślicznej, wiośnianej i uroczej Klaudii Mazaraki. Dziewczyna chciała zostać hrabiną – prawidłowo rozegrała kampanię przedślubną i osiągnęła to do czego dążyła.

W ów dzień czwrcowy właśnie ona była żoną, a Wiesławem – jej dorosły pasierb, Juliusz. Młody i przystojny hrabia studiował medycynę, ale ostatnio się zbuntował i oświadczył, że nie zamierza wracać na uniwersytet. Denerwowała go ponoć sekcja zwłok, naprawdę jednak nudziły wykłady i ćwiczenia. Kajetan zgadzał się z nim w zupełności – lubił swojego pierworodnego i wcale nie miał mu za złe, że zamiast studiować, woli tańczyć pić i flirtować. Starał się nawet nie zwracać uwagi na wybryk syna, gdyż odznaczał się on pewną zaletą, równoważącą wszelki wady: mimo młodego wieku świetnie się znał na koniach.

Stajnia właściciela Jarcowiec cieszyła się zasłużoną renomą nie tylko dlatego, że ongiś została założona przez syna Jana Sobieskiego, Jakuba, lecz także z powodu znakomitego doboru rasowych ogierów i klaczy. Po królewiczu dziedziczyli ją różni arystokraci, ponieważ wchodziła w skład posagów panien wychodzących za mąż. Z czasem po zmianie kilku właścicieli trafiła do Dzieduszyckich – i Kajetan u schyłku swego życia zapragnął uczynić z niej najbardziej wartościową w Galicji i na Podolu.

We Lwowie sprzedawano wtedy ogiera Bagdada, o którym opowiadano cuda. Glioccho, kupiec grecki, sprowadził go z Arabii proponował panom galicyjskim za sumę oburzającą jednych, a zachwycającą drugich swoją wysokością. Konia chcieli kupić wszyscy i wszyscy żalowali pieniędzy. Zupełnie niespodziewanie skąpy stary Dzieduszycki zdobył się na gest rozrzutnika. Po głębszym namyśle przyniósł z komory dwa worki złota i wręczył je synowi z odpowiednim pouczeniem. Worki zawierają dwa tysiące dukatów – niech więc to weźmie, jedzie do miasta i bez Bagdada nie wraca!

Juliusz nazajutrz wyjechał do Lwowa karetą zaprzęzoną w czwórkę koni i od tej pory akcja potoczyła się zupełnie inaczej niż w poemacie Brodzińskiego. Po tygodniu powrócił na siwym rasowym ogierze. Bagdada licytowało paru magnatów, cena została podbita tak, że nie starczyło mu pieniędzy na kupno. Zaproponował jednak kupcowi wszystkie posiadane dukaty, karetę i czwórkę; przy sobie zatrzymał tylko bat. Glioccho od razu się zgodził – większej sumy nikt by mu nie zaofiarował. Kajetan początkowo zbeształ syna za to, że dał się naciągnąć, ale potem przyjrzał się rumakowi i przestał się gniewać – nie ulegało najmniejszej wątpliwości: tego nabytku będą mu zazdrościli wszyscy sąsiedzi.

## „DOBRE CZASY”

Wielcy panowie w Galicji i na Podolu w tamtych czasach żyli dostatnio, wesoło i przyjemnie. Gospodarowali wprawdzie według zasad tradycyjnego prymitywizmu, lecz źle na tym nie wychodzili, ponieważ nie było kryzysu. Roboty w polu zresztą nic nie kosztowały – wykonywali je jako

pańszczyznę „ludzie”, z którymi wszelkie sprawy załatwiali i których straszili cyrkułem tak zwani mandatariusze. Wprost trudno wyobrazić sobie, jaki niski był poziom moralny i umysłowy ówczesnej wsi galicyjskiej, wiecznie głodującej, wynędzniałej i pracującej „na panów”. Panowie korzystali z tego: hulali, szaleli, trwonili majątki we wszelkie możliwe sposoby w zagranicznych „Badach”, w stołecznym Wiedniu i rodzinnym Lwowie. Podróże, bale, zabawy i pijatyki wiele kosztowały, ale na wszystko dostarczali pieniędzy usłudzy administratorzy.

Na świecie rozgrywały się wielkie wydarzenia, w Galicji Wschodniej panował spokój. „Żubrom podolskim” wszystkie sprawy wydawały się błahe, łącznie z austriacką okupacją i „Najjaśniejszym Panem”. Wtedy jeszcze nikt z nich nie deklarował chęci stania przy cesarzu, uważali go bowiem jedynie za dziedzica w Wiedniu. We Lwowie znowuż dziedzicem był gubernator, arcyksiążę Ferdynand d’Este – jako sąsiada wypadało go odwiedzać i bywać na wydawanych przez niego balach, ale nie wypadało mu nadskakiwać. Oczywiście niższej administracji nie tolerowano w towarzystwie i nie liczone się z nią zbyt, ponieważ w każdej chwili można było ją kupić.

Dzieduszyccy pierwszego członka rodziny, pracującego w austriackim urzędzie, uważali za odstępcę od narodowej i rodowej tradycji. W owe czasy zajmowanie się nauką nie było modne, jako jedyne zajęcie pozostawała im uprawa roli, zwłaszcza że dziedziczyli olbrzymie majątki. Sytuacja polegająca na ograniczeniu zakresu działalności stała się udziałem wielu rodzin i na niektóre jednostki wpłynęła fatalnie. „Juliusz Dzieduszycki – pisze Stanisław Witkiewicz w pięknej monografii o Juliuszu Kossaku – był jednym z tych niezwykłych ludzi, którzy się rodzili z duszą nadmiernie dzielną i szeroką na stosunki, w jakich społeczeństwo wówczas żyć musiało. Kraj się roił od oryginałów i dziwaków, których dziwactwa były wypaczeniem silnych indywidualności, zmuszonych zużywać swój nadmiar sił w ciasnych warunkach, w jakich zamykało je życie. Byli to ludzie, stworzeni do życia w wieku na przykład XVII, stworzeni do uganiania się po niezliczonych ówczesnych polach bitew, do awanturniczych wypraw, do życia bez norm i granic, którzy musieli dookoła siebie czuć kraj otwarty na wszystkie strony, step bezmierny i swobodny, w których drgała lekkomyślna swawola żołnierza z fantazji, junaka i wielkiego pana, nie liczącego się z fortuną, gdyż ma jej za dużo lub nie ma już jej wcale...”

## ARABSKIE AWANTURY

Juliusz Dzieduszycki był właśnie takim człowiekiem z XVII stulecia, który, niestety, urodził się o dwieście lat za późno. Po przerwaniu studiów uniwersyteckich przebywał zwykle na wsi i używał „na całego”: od rana do wieczora na koniu lub przy koniach. Piękne wierzchowce, step i charty stawały się jego namiętnością, która potęgowała się coraz bardziej, przesłaniając inne dążenia i zachcianki życiowe. Co roku jednak udawał się w dłuższą podróż po Europie Zachodniej. Najchętniej przebywał w Paryżu, skąd wyniósł umiejętność wytwornego ubierania się, poprawny akcent francuski i wytworne maniery. Na balach lwowskich słynął jako arbiter elegancji, podziwiany i naśladowany przez liczne grono złotej młodzieży. Kobiety przepadały za nim, zdobywał je prędko, jeszcze prędej opuszczał – niestały w uczuciach, wiecznie szukający nowych romansów i przygód miłosnych. Do żadnej nie mógł się przywiązać, z żadną nie chciał się zenić.

–Najpiękniejsza kobieta wreszcie się znudzi – mawiał. – Dobry koń – nigdy.

Kajetan umarł w 1842 roku, pozostawiając mu w spadku cały ogromny majątek. Juliusz nie skrzywdził wydziedziczonego brata Władysława, podzielił się z nim wszystkim, co dostał, i zaczął urzeczywistniać swoje marzenia. Od dawna marzył o cudownych koniach arabskich, a Bliski Wschód wydawał mu się ową mekką, do której każdy właściciel stajni powinien przynajmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę.

Dnia 7 stycznia 1844 roku wyruszył w przeszło roczną podróż do Egiptu, Arabii, Palestyny i Turcji. Zabrał z sobą dwóch młodych kozaków, Hrycia i Mykołę, wychowanych pod Złoczowem, którzy nigdy nie jeździli dalej niż do Lwowa, najprostsze przeto przejawy życia innych krajów napawały ich

bezgranicznym zdumieniem. W Ankonie kozacy i hrabia wsiedli na okręt płynący do Aleksandrii. Kołysani przez fale rychło wszyscy zaczęli chorować. Zmaltretowany Hryć zażądał wówczas kategorycznie od swego pana zwolnienia, a otrzymawszy pieniądze na drogę powrotną, kilkakrotnie obszedł statek wzdłuż poręczy pokładu, szukając mostu albo kładki, żeby dostać się na brzeg. Niczego podobnego nie znalazł, ktoś mu wytłumaczył, że „jezioro” jest bardzo duże, zrezygnował więc z zamiaru powrotu i – po przybyciu do Egiptu – wiernie towarzyszył Juliuszowi we wszystkich wędrówkach po arabskich osiedlach. Mykoła zaś długo chorował w Kairze, gdyż objadł się zielonych fig, które wziął za rodzime słodkie gruszki.

W stolicy Egiptu handlarz niewolników zaproponował Dzeduszyckiemu młodą i piękną Czerkieskę. Bez większego namysłu zapłacił żadaną cenę czterystu dukatów i sprowadził ją do swego mieszkania. Zora była dobrą dziewczyną – prędko przywiązała się do niego, spędziła z nim wiele dni i nocy. Szejkowie witali go z wielkim szacunkiem. Grek Glioccho, znany na Wschodzie handlarz koni, dał mu kilka listów polecających, w których pisał o nim jako o bracie emira Tadż-el-Fahra Abd-el-Niszana. Wprawdzie Waclaw Rzewuski był ostatni raz wśród Arabów przed laty, śpiewano jednak jeszcze pieśni o jego bogactwie i dobroci. Brat emira mógł liczyć na gościnność i uprzejmość w oazach, zwłaszcza że imponował tubylcom swoją postawą, świetną jazdą konną i znawstwem koni.

Sędziwy starzec, słynny z nienawiści do „giaurów”, szejk Achmed Abd el Insaf, na wiadomość o przybyciu brata emira zaprosił go do siebie, gwarantując uroczystą przysięgą bezpieczeństwo. Dzeduszycki i Hryć udali się karawaną w głąb Pustyni Arabskiej i dopiero po dłuższej podróży przybyli do celu. Podejmowano ich uroczyście i przez wiele dni pokazywano konie. Szejk, jak się okazało, nie lubił tylko biednych „giaurów”. Pewnej nocy potajemnie przybył do namiotu hrabiego, proponując sprzedaż Abucheila, „ojca koni”, za fantastycznie wysoką sumę. O doskonałości tego ogiera po Arabii krążyły legendy – przedstawiał ogromną wartość i należał do całego plemienia, które nie chciało się go wyzbywać. Juliusz był nim urzeczony; nie targując się, przyjął z entuzjazmem ofertę Achmeda, a dla tłumacza wyasygnował okazałą sumę za dochowanie sekretu. Nie należy się liczyć z kosztami, gdy kupuje się najwspanialszego konia!

Odesłał rzeczy do miasta karawaną, sam pozostał i czekał na obiecane go ogiera. Wreszcie w nocy znów obudził go szejk. Przed namiotem stał osiodłany Abucheil, a obok na legalnie kupionej kłaczce Gazelli siedział wierny Hryć. Achmed zainkasował gotówkę i udzielił kilku rad na drogę. Juliusz oficjalnie kradł konia, lecz dopiero nad ranem mogło to spostrzec plemię. Sprytny Arab miał wtedy „udawać Greka” i pościg skierować w fałszywym kierunku. Zresztą „giaurzy” nie obawiali się pogoni – ich konie bowiem były najszybsze w całej Arabii. Jazda przez pustynię stanowiła dość łatwą przeprawę dla rzekomego brata emira i jego służącego. Spotykali liczne plemiona arabskie, które nie okazywały wrogości i chętnie, za zapłatą, udzielały im żywności i noclegów. Juliusz oczywiście nikomu nie zdradzał nazwy swojego konia. Zdołał go jednak do tego sprowokować napotkany na drodze wędrowny kupiec jadący na mule.

– Popatrz, cudzoziemcze, na mojego muła – niespodziewanie zawołał do niego. – To najszybszy muł świata, prześcignąć go może jedynie Abucheil. Twój piękny rumak, w porównaniu z moim, jest nędzną szkapą.

– Może się założymy? – zaproponował Dzeduszycki.

Ruszyli z kopyta i wkrótce kupiec na swoim wierzchowcu pozostał daleko w tyle.

– Jak się nazywa twój koń? – zainteresował się, płacąc przegraną.

– Abucheil – poinformował tryumfujący hrabia, śmiejąc się ze zdumionej miny właściciela muła.

Po odpoczynku w Kairze włączył się dalej po oazach, podróżował po Palestynie i Syrii, szukając koni.

Czuł się w swoim żywiole: wielkie przestrzenie, ciągle przygody, cudne rumaki i piękne dziewczyny. W miastach, w salonach konsulów pił wino, tańczył, flirtował z konsulowymi. Coraz częściej Zora nadaremnie czekała na jego powrót na noc do domu – w końcu przekonała się, że interesuje się nią jedynie przelotnie. Cóż miała robić? Rozpaczać? Nie lubiła zmartwień, toteż pocieszała się, flirtując z dorodnymi kozakami, którzy w największej zgodzie wspólnie ubiegali się o jej względy. W ciągu roku hrabia wydał prawie sto tysięcy dukatów, ale za to nabył kilka ogierów i klaczy, najlepszych i najbardziej rasowych. Nie chciało mu się wracać do kraju; nie tylko on, lecz nawet Hryc i Mykoła rozsmakowali się w nowym, podróżniczym i awanturniczym życiu. Poza tym był kłopot: co zrobić z niewolnicą? Pragnął obdarzyć ją wolnością, w odpowiedzi zaczęła płakać i grozić samobójstwem. Wolność była dla niej niezasłużoną karą, nie wyobrażała sobie życia bez jakiegoś pana. Stanowczo nie chciał zabierać jej z sobą, bał się narazić na drwiny i śmiech całej Galicji. Długo głowił się nad sytuacją – dopiero Hryc dał mu dobrą, praktyczną radę. Usłuchał go i sprzedał Zorę konsulowi austriackiemu. Okazało się, że transakcja była dla wszystkich korzystna: Zora nie zaznała kłopotów wolnego życia, konsul dostał uroczą niewolnicę, a Juliusz, po zlikwidowaniu ciężącego stosunku, mógł swobodnie i spokojnie powrócić do kraju.

## DWAJ JULIUSZE

Po powrocie wybudował w Jarczowcach nowy pałac i specjalne stajnie. Do pałacu podjeżdżało się wprost z ogromnego podolskiego stepu. Cały front zajmowały dwa pokoje, jadalny i salon. Z jadalni drzwi prowadziły bezpośrednio do długiej, bocznej oficyny przeznaczonej na stajnię ogierów. Z salonu – do stajni żrebaków. Dzięki takiemu urządzeniu można było w każdej chwili złożyć wizytę koniom i przekonać się o ich luksusowym życiu w luksusowych boksach. Boksy zostały zaprojektowane przez samego dziedzica, a na ich ścianach zawieszono olbrzymie lustra, w których przeglądali się czworonożni mieszkańcy, urozmaicając sobie życie. Klacze trzymano w nieco skromniejszych pomieszczeniach obok pałacu i na folwarkach.

Dzieduszycki mógł być dumny – nigdy stajnia królewicza Jakuba nie cieszyła się większą sławą niż po przybyciu koni z Arabii. W Galicji było sporo hodowców, lecz on wszystkich prześcignął rozmachem i fantastyczną, wprost niezwykłą troskliwością o swoją stadninę. Wincenty Pol upamiętnił jego zamiłowania w wierszu o efektownym początku:

Mości Juliuszu – ty biały lwie Wschodu,

Wielki koniuszy wielkiego narodu!

„Białego lwa Wschodu” martwiła jedna rzecz: po latach pozdychają ogiery, a on nie będzie miał ich portretów. Pojechał przeto do Lwowa, żeby wyszukać odpowiedniego malarza. Paru mistrzów obraziło się jednak na czynione im propozycje. „My, panie hrabio – odpowiadali wyniośle – malujemy landszafty ludzi, a nie bydlęta.”

Żaden szanujący się malarz nie chciał się podjąć tak poniżającej roli, jaką jest portretowanie koni. Juliusz przekonał się, że nie znajdzie nikogo chętnego, a ponieważ ogarnęło go z tego powodu ogromne rozgoryczenie, cały czas pił bez umiaru w towarzystwie przyjaciół. Po jakiejś lumpce, pragnąc się odświeżyć fizycznie i moralnie, poszedł do łaźni. Obok niego odpoczywali dwaj młodzi studenci, którzy z pogańską prostotą oglądali swe gołe ciała.

– Szkoda, że nie ma Julka – mówił jeden. – Mógłby nas tutaj namalować.

Drugi zaoponował: – Nie potrafiłby. On tylko konie dobrze rysuje.

Dzieduszycki natychmiast podszedł do nich przedstawił się i poprosił o adres kolegi-malarza. Tego samego dnia pozna dwudziestojednoletniego studenta z wydziału prawa, który, jak opowiadał, bardzo

lubił malować konie. Młodzieńca szczególnie polecał Kazimierz Dzieduszycki z Niesłuchowa, znano go również w Łańcucie. Referencje więc były pierwszorzędne – nowi znajomi wieczorem solidnie popili i zawarli przyjaźń „na wieki”.

Ta przyjaźń istotnie przetrwała do późnej starości. Juliusz Kossak, ówczesny student, zawsze wspominał Juliusza Dzieduszyckiego najserdeczniej. W Jarczowcach przebywał z przerwami od 1845 do 1850 roku – i te lata decydująco wpłynęły na dalszy rozwój jego talentu. Hrabia był starszy od malarza, ale ich poglądy na życie, charaktery i temperamenty miały wiele cech wspólnych. Obydwaj lubili konie, polowania, starszylacheckie wypitki i wybitki – dobrali się tak doskonale, że nie chcieli się rozstawać. Młodszy Juliusz z czasem namalował i narysował w różnych pozach prawie wszystkie ogiery i klacze jarczowieckie – starszy zaś otoczył go najtroskliwszą opieką. Podobna opieka bardzo się przydała początkującemu, niezamożnemu malarzowi.

## REWOLUCJA

W owych latach coś się zmieniło w życiu Galicji. Przez kraj przebiegł prąd, który odwracał szlachtę od egoistycznego, pełnego zabaw życia do spraw bardziej ważnych, patriotycznych i narodowych. Mówiono o zniesieniu pańszczyzny, o zamierzonym powstaniu i o niepodległości. W niektórych dworach zwiększano poczty kozaków – formowano w ten sposób wojsko mające niebawem wypędzić z Polski zaborców. Juliusz Dzieduszycki entuzjazmował się tym planem i w sekrecie przed władzą, wraz z Kossakiem, wbijał, nieraz dosłownie, do głów różnych Semenów i Hryciów podstawowe militarne umiejętności.

Luty 1846 roku krwawo zapisał się w dziejach zachodniej części Galicji. „We wschodnich obwodach... – twierdzi Bolesław Limanowski w Historii ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 roku — ani w Samborskiem, ani w okolicach Stanisławowa, gdzie właśnie powstanie najlepiej było przygotowane i mogło rachować na powodzenie, żadnego ruchu powstańczego nie było. Widocznie otrzymano już tam wiadomość o odwołaniu.”

Po zajściach w Horożanie nieliczni powstańcy próbowali jedynie opanować Brzeżany, na które miał uderzyć od strony Potutor oddział Ignacego Komorowskiego, a od strony Narajowa – Teofila Wiśniowskiego. Komorowski, powiadomiony o odwołaniu powstania, do Potutor nie przybył, Wiśniowskiego zaś dragoni zmusili do odwrotu. Juliusz Dzieduszycki, rozczarowany nikłością akcji postanowił na własną rękę wypowiedzieć wojnę Austrii i okupować Brzeżany. Na czele swoich sił zbrojnych szczęśliwie dotarł do miasteczka, a uprzedzony o zbliżającym się oddziale nieprzyjacielskim, ukrył kozaków na cmentarzu. Gdy na drodze ukazał się pluton austriackich piechurów konwojujący małą armatkę Hryciowie wystrzelili z rusznic, krzyknęli i ruszyli do ataku. Żołnierze w panicznym strachu zaczęli uciekać do lasu i chować się w krzakach. Nikt nie został zabity, droga do śródmieścia stała otworem, pierwsza zaś potyczka zwiększyła uzbrojenie oddziału Dzieduszyckiego o armatę, z której co prawda zwycięzcy nie umieli strzelać. Okupacja miasta trwała ogromnie krótko, ponieważ szpiedzy-amatorzy donieśli, że pułk dragonów wyruszył z Narajowa odsiecz. Trzeba było uciekać, co też skrupulatnie uczyniono. Oddział powrócił do Jarczowiec, kozacy pochowali broń i poszli do pracy. Juliusz, jak gdyby nic nie zaszło, wizytował swoje folwarki. Władza jednak go odnalazła, aresztowała w ostatni dzień lutego, przewiozła do Złoczowa i zamknęła w areszcie miejskim.

Rodzina zaniepokoiła się i pośpieszyła z pomocą. Przekupiono paru urzędników, którzy uznali Juliusza za ciężko chorego, nie przesłuchali go i nie wysłali do lwowskiego więzienia. Więcej na razie niczego nie uzyskano, ponieważ arcyksiążę Ferdynand, prywatnie proszony, nie zgadzał się na umorzenie sprawy. Dopiero, gdy przybył do Lwowa nowy wielkorządca Galicji, „nadzwyczajny pełnomocny komisarz nadworny”, Rudolf Stadion, kontynuowano wysiłki i znaleziono do niego drogę. Pewna piękna hrabina, która kochała więźnia nawiązała romans z przybyłym dostojnikiem, szczególnie łasym na wdzięki niewieście. Posunięcie było dobre – w połowie sierpnia 1846 roku zwolniono Dzieduszyckiego z aresztu, sprawę zaś solidnie zatuszowano. Zapewniono centralny rząd o lojalności hrabiego, a jemu

poradcono siedzieć cicho.

Naturalnie nie usłuchał. Gorączkowo śledził rozgrywające się wydarzenia dziejowe, biorąc w nich czynny udział. W 1848 roku wstąpił do lwowskiej gwardii narodowej i jeździł do Wiednia jako członek delegacji komitetu polsko-ruskiego. Potem, w towarzystwie Kossaka, udał się na kongres słowiański do Pragi, lecz mimo najlepszych chęci niewiele tam zdziałał, zwłaszcza że obrady zostały przerwane przez akcję wojenną Windischgrätza. W listopadzie budował barykady we Lwowie – wreszcie przygnębiony zwycięstwem reakcji, zawiedziony w rewolucyjnych nadziejach, rozgoryczony brakiem zgody między Polakami a Rusinami powrócił do Jarczowiec. Znów pojechał na ulubionym ogierze Merdzenkirze na łowy i pędząc po stepie, zrozumiał, że niepotrzebnie się martwi – swobodne życie stanowi przecież dostateczne wynagrodzenie za wszelkie niepowodzenia polityczne.

## SOPHINETTE

Wraz z Wiosną Narodów skończyła się polityczna działalność Juliusza Dzieduszyckiego. Odtąd zajmował się jedynie swoją stadniną, która zyskała już sławę europejską. Do Jarczowiec tłumnie wędrowała szlachta, aby odwiedzić gospodarza, zasięgnąć u niego rady i oglądać jego konie. W dziedzinie hipologii był największym autorytetem – uznał to nawet Franciszek Józef, nadając mu godność cesarskiego koniuszego. Łaskawość swą monarcha posunął następnie tak dalece, że podczas pobytu w Galicji, w 1851 roku, raczył zwiedzić pałac-stajnię ekscentrycznego hrabiego i oglądnać znajdujący się tam przychówek. Za przykładem brata trzy lata później do Jarczowiec pojechał arcyksiążę Karol Ludwik, ojciec zabitego w Sarajewie Ferdynanda i dziadek ostatniego Habsburga na tronie, Karola. Juliusz nie mógł sobie odmówić przyjemności odpowiedniego przyjęcia gościa. W tym celu wydał specjalne dyspozycje kozakowi, który reprezentacyjną czwórką koni miał przywieźć arcyksięcia do majątku ze Stanisławowa, a nie znał zupełnie języka niemieckiego.

– Jedź prędko. Gdy ci powiedzą: langsam – to jeszcze prędzej, gdy: schnell – to powoli.

Karol Ludwik zapewne nigdy nie jechał tak bardzo „po kawalersku”. Błdy z trwogi, przestraszony niepowstrzymanym impetem jazdy nadaremnie krzychał: langsam. W odpowiedzi kozak jeszcze bardziej podcinał batem konie, które rwały naprzód po wyboistej drodze z fantastyczną szybkością. Po przybyciu do Jarczowiec na pół żywy arcyksiążę wyraził swoje oburzenie z powodu samowoli woźnicy. Dowcipny hrabia uprzejmie i pokornie go przeprosił – rzeczywiście to straszny wypadek! Bardzo ubolewa i zaraz każe ukarać kozaka za to, że nie rozumie po niemiecku.

Był to kawał należący do złotej serii bałagulskich wyczynów Juliusza. Dobry dla wszystkich, „krzywdził” jedynie wiejskie dziewczęta, które zresztą chętnie stawały się ofiarami tej „krzywdy”. Odznaczał się nie tylko urodą, lecz także hojnością, dostawały przeto od niego pieniądze i ziemię, stając się od razu posażnymi pannami na wydaniu. Daleki od purytańskich skłonności i pruderii prosił jednak wielokrotnie pewnego sąsiada-weneryka, żeby zrezygnował z prawa pierwszej nocy, które narzucił swoim wioskom.

Gdy prośby nie skutkowały, zbrojnie najechał i kazał publicznie – wychłostać amatora średniowiecznych zwyczajów. Podobnie bezceremonialnie postępował z austriackimi urzędnikami. Ogólnie



Zofia z Bobrów Dzieduszycka, Henryk Rodakowski (1823-1894), Muzeum Śląskie w Katowicach.

znieawidzonego starostę stanisławowskiego, Niemca, zaprosił kiedyś do siebie, gruntownie spoił i nieprzytomnego odesłał do miasta w otwartej trumnie, umieszczonej na karawanie. Zwykły obywatel powędrawałby za takie dowcipy do więzienia – hrabiemu wszystko uchodziło płazem.

Jego życie płynęło naprawdę pod hasłem: „Młodość, miłość awantura”. Najwięcej po stajni kosztowały: miłość i awantura – topniały przeto odziedziczone zasoby. Należało bogato siężenić, aby nie zmieniać dotychczasowego trybu życia. Juliusz zaczął się rozglądać za żoną i wreszcie, podczas jednej z licznych zagranicznych podróży, znalazł odpowiednią kandydatkę.

Była nią Zofia Bobrówna, córka Teodora, marszałka szlachty wołyńskiej, i pięknej Joanny. Joanna, muza dwóch wieszczów: Krasińskiego, który kochał się w niej z wzajemnością, i Słowackiego, który kochał się w niej nieszczęśliwie, od szeregu lat nie żyła z mężem i wraz z córkami przeważnie przebywała na Zachodzie. Autor Beniowskiego nazywał ją „wielką kobietą”, „rubensowską Madonną” i na koniec „dręczycielką”, a jednocześnie uwielbiał jej obie córeczki. Zwłaszcza młodsza, drobniutka Zosieńka, Sophinette – jak wołała na nią z francuska matka – była dla niego „zorzowym aniołkiem”, otaczającym każdego „swoją atmosferą różaną”. Poeta ciągle przynosił dziewczynce cukierki i zachwycał się jej „anielskim” brzdąkaniem na fortepianie. Z czasem wyrosła z niej ładna, chociaż zawsze szczupła, filigranowa i eteryczna panna. Dzieduszyckiemu bardzo się spodobała, toteż po krótkim wahaniu oświadczył się o jej rękę i został przyjęty. 29 sierpnia 1857 roku w Schwalbach odbył się ślub, po czym młoda para udała się na stały pobyt do Jarczowiec.

Biedna Sophinette! Jej matka w swoim domu nie przyjmowała nikogo, kto nie był księciem, hrabią, baronem, bankierem lub artystą, córka zaś znalazła się w towarzystwie wiejskich szlagonów, koniuchów i koni. Jak dziki i barbarzyński musiał się jej wydać pałac połączony bezpośrednio ze stajnią! Męża bardzo kochała, marzyła o wzajemności, ale rychło przekonała się, że znajduje się jedynie na marginesie jego uczuć. Bała się nie chciał zmieniać dotychczasowych upodobań: nadal harcował na koniach, polował i hulał. Nadaremnie pragnęła mieć dziecko – natura odmówiła jej tej przyjemności. Dobrze wychowana i cicha, nie skarżyła się nikomu, nie zdradzała męża, z pokorą spełniała jego nakazy. Najpiękniejsze lata swego życia spędziła w cieniu Juliusza. Dla niej on był wszystkim – ona dla niego tylko drobnym epizodem życiowym.

## OPOWIADANIE O TRZECH KOŃCACH

Kilka lat po ślubie Juliusz musiał się pożegnać z beztróskim i wesołym życiem, ponieważ mijały dawne dobre czasy, a następowały nowe i podłe. Mimo bogatego ożenku zaczęły go gnębić coraz większe kłopoty materialne, wreszcie gwałtowny spadek cen produktów rolnych w siódmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku uczynił z niego prawie bankruta. Przyzwyczajony do życia w stepie nie orientował się w interesach, toteż rodzina objęła kuratelę nad jego dobrami, a on przeniósł się na Wołyń, do majątku żony, Szelwowa.

Razem z nim przybyła na Wołyń znaczna część stada jarczowieckiego, reszta zaś została w luksusowych stajniach, powierzona opiece dzierżawcy. Dzieduszycki próbował jeszcze żyć tak jak na Podolu, ale wszystko, co robił, nie miało poprzedniego rozmachu. Wprawdzie znalazł nowych kompanów, urządzał polowania i zawody konne, ciągle jednak tęsknił za swoją dawną siedzibą, za bezgranicznym stepem podolskim, a przede wszystkim za dawnymi warunkami życia i stosunkami, kiedy nikt się nie ośmielał ograniczać, a nawet krytykować awanturniczej działalności wielkiego pana i bałagudy.

Dopiero wojna rosyjsko-turecka w 1877 roku poprawiła finanse Juliusza, gdyż ogromne zapasy zboża z lat ubiegłych sprzedał po dobrej cenie intendenturze rosyjskiej. Był jednak już stary, pragnął mieszkać wygodnie, wynajął przeto komfortowe mieszkanie we Lwowie. Nieporównany znawca koni, kobiet i wina wytworny, czarujący wszystkich genre'em wielkiego pana, z pierwszej połowy stulecia, przyjmował tout le mondeu siebie i w wielu domach. Cieszył się ogólnym szacunkiem, jego zasługi w dziedzinie poprawy rasy końskiej rzeczywiście przedstawiały się imponująco i ta świadomość, że coś w życiu



zdziałał, może stałaby się dla niego źródłem radości, gdyby nie upadek dzieła zaczętego w młodości. Pałac bowiem i stajnie jarczowieckie zamieniały się w ruinę, stado malało, a sporo cennych koni musiał sprzedać, ponieważ brakowało pieniędzy na ich utrzymanie. Poza tymi zmartwieniami trapiła go również choroba. Rak rozwijał się coraz bardziej i w 1884 roku nastąpił koniec jego życia.

Sophinette zmarła dwadzieścia lat po zgonie męża. Wielu ludzi zapewne jeszcze pamięta małą, drobną staruszkę drepczącą po lwowskich ulicach na początku XX wieku. Lubiła piesze spacerować, a jednocześnie bała się przemęczenia, dlatego zawsze z tyłu jechała za nią kareta. Juliusza wspominała bardzo pochlebnie, zwłaszcza chętnie opowiadała młodym kuzynkom o tym, jak się on w niej kochał i jak starał się o nią. Opowiadała równie często o Słowackim i o swojej matce, nawet nieproszona pokazywała wpisany do jej dziewczęcego pamiętnika oryginalny utwór poety, zaczynający się od słów: „Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi”. O swoim zmarnowanym życiu nie mówiła nikomu.

Klucz jarczowiecki, stajnie i wielką plikę nieznaną szerszemu ogółowi rysunków Juliusza Kossaka odziedziczył Władysław, syn znakomitego polityka, uczonego i myśliciela Wojecha Dzieduszyckiego. Nowy właściciel w 1910 roku pojechał do Indii po konie, pragnąc zwiększyć wartość swego stada. Nie zdołał jednak przeprowadzić wszystkich zamierzonych reform i musiał zrezygnować z hodowli, ponieważ wybuchła wojna. Niemcy, gdy znaleźli się w Galicji Wschodniej, zabrali mu wszystkie bardziej wartościowe ogiery i klacze – zaledwie kilka rasowych okazów wróciło następnie do państwowej stadniny w Janowie. W ten sposób po ćwierć tysiącnym, chlubnym istnieniu nastąpił także koniec stajni założonej przez królewicza Jakuba.